



GDZIE TO

GDZIE

ZAGRAŁY TRĄBKI MYŚLIWSKIE?..

Organ Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich

POD REDAKCJĄ MICHAŁA K. PAWLIKOWSKIEGO

KOMITET REDAKCYJNY: BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI, WŁODZIMIERZ KORSAK, MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI, JAN BOROWSKI, LEOPOLD PAC-POMARNACKI

TOWARZYSTWO ŁOWIECKIE ZIEM WSCHODNICH

zmieniło lokal i mieści się obecnie pod adresem: Wilno, Wielka 66 (Dyrekcja Lasów Państwowych)

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ

Z polowań na Kresach Wschodnich

Dziesięć lat minęło od tej chwili osobliwej, gdy ze szpalt „Słowa“, ze szpalt skromnej stronicy szarego papieru gazy tego, ze szpalt piśma wychodzącego w cichym, wegetującym, zacołanym i za hukanem Wilnie — po raz pierwszy za grały trąbki myśliwskie...

Zagrały w przymglony poranek październikowy i pobiegły echem po siwo-srebrnym szronie, po ściętych pierwszym mrozem mchach i rojstach, po przerzedzonych borach Wileńszczyzny — szczątkach dawnych puszczy litewskich, gdzie dobrze nahułały się i moskiewskie i niemooskiewskie siekiery...

Zagrały w okresie, gdy dzisiejsza — mądra i surowa — ustawa łowiecka, której projekt spoczywał wówczas w biurach ministerjalnych, nie była uchwalona i, zdaniem pesymistów, nigdy nie miała być uchwalona; gdy dzicz kłusownicza, rozwydrzona bezkarnością lub humorystycznie niskimi karami, dziesiątkowała niedobitki cudem ocalałej zwierzyny; gdy zdawało się, że — gdzie jak gdzie — lecz nie na terenie naszych „dzikich kresów“ narodzić się może embrion regionalnej prasy łowieckiej...

A jednak narodził się i — rzecz ciekawa — narodził się o cały rok wyprzedziły powstanie na kresach placówki ideowe łowieckiej — Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, będącego od r. 1929 wydawcą naszego dodatku łowieckiego.

Inicjatywę wydawania przy „Słowie“ dodatku łowieckiego, zaprojektowanego jako wychodząca regularnie co miesiąc stronica gazety, rzucił p. Michał Obieziercki, ówczesny członek redakcji „Słowa“. Inicjatywę podchwycili jedyni wówczas w Wilnie działacze łowieccy pp. Bolesław Świętorzecki, dr. Czesław Koneczny, Konrad Landsberg i Michał K. Pawlikowski i oni to podpisali pierwszą odezwę ad hoc zawiązanego komitetu redakcyjnego.

W niedzielę dnia 10 października 1926 r. ukazał się pierwszy „numer“ dodatku łowieckiego, mając na czele przepiękny artykuł wstępny ś.p. Czesława

Jankowskiego, zaczynający się od słów: „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie“... Te to właśnie początkowe wyrazy artykułu Jankowskiego są po dzień ten tytułem naszego dodatku łowieckiego.

* * *

W październiku 1931 r. obchodziliśmy już nasz skromny, bo wówczas 5-letni jubileusz, nie będąc wtedy zgoła pewni, czy w naszych warunkach kultury łowieckiej uda się nam dociągnąć do 10-letniej rocznicy. Jednak szczęśliwie dobrnęliśmy — i to napawa nas dumą i otuchą.

Lecz jeszcze większą dumą i jeszcze większą otuchą napawa nas okoliczność, że dzisiejszy jubileuszowy nasz numer jest w znacznej części poświęcony **Młodemu Łowiectwu**, że młodzi działacze łowieccy, skupieni pod sztandarem A.Z.Ł.

w Wilnie, podali nam „starym“ mocne młode dłonie i stanęli obok nas w szeregu bojowników o przyszłość Polskiego Łowiectwa. Skończył się szczęśliwie okres porozumień, no i... nieporozumień pomiędzy „obozami“ młodych i starych myśliwych. Skończył się — i oba obozy stanęły do wspólnej pracy. To nie są czcze frazesy: my odchodzimy, oni nas zastąpią. A że zastępują godnie, o tem świadczy dobitnie poziom artykułów umieszczonych w dzisiejszym dziale „Młode Łowiectwo“...

Zbieg jubileuszu „Trąbek myśliwskich“ z tym widomym aktem przyniesienia pomiędzy młodzieżą łowiecką, a starszym społeczeństwem myśliwskim jest prawdziwym świętem, które powinno odbić się echem w całej Polsce.

M.K.P.

Granica sowiecka



fol. adm. M. Borowski

Było to dawno. W Braźskiej puszczy pod Bobrujskiem, w okolicach osady Rastani otropiono 6 niedźwiedzi, z których dwa zostały upolowane na zarządzo nych tam wówczas łowach przez mego ojca.

Jeden z tych niedźwiedzi, a był to pierwszy w moim życiu (liczyłem wówczas 15-ą wiosnę), przypadł na moją strzelbę.

W jednym ostępie ruszono 2 niedźwiedzie. Jeden z nich wyszedł na mego starszego brata i został przez niego strzelony, drugi wymknął się bez strzału. Na trzeci dzień otropiono go o kilkanaście kilometrów w innej stronie puszczy. Zarządziliśmy polowanie, lecz znowu się nie powiodło. Kilkanaście psów, które puszczono na jego trop, ruszyły go przedko, usłyszeliśmy z naszych stanowisk ten przepiękny gon ogarów... „krótki, urywany, zjadły“, lecz też i od razu stało się wyraźnym, że zwierzę poszedł inną stroną.

Polegając na naturze niedźwiedzia wracania, po ponownym jego ruszeniu, na pierwotne swe legowisko, nie zwlekaając siedliśmy do sań i ruszyliśmy do ostępu, w którym go po raz pierwszy podjęto.

Dzień był mroźny i słoneczny. Ołbrzymie sosny i świerki, poprzetykane gęsto starymi dębami, stały ciche, nie poruszone najmniejszym podmuchem wiatru. Mróz się wzniagał i już nisko ku zachodowi chyliło się słońce, gdy zjawialiśmy nasze stanowiska. Po godzinie daremnego wyczekiwania w ciszy zmartwiałej z zimna puszczy, że aż w uszach dzwoniło od wysłuchiwania upragnionego gonu, zziębnięci wracaliśmy ze swych stanowisk, gdy wtem doleciał mego u -

cha cienki głos psiego szczeknięcia...

Gonią, rzekłem... Stanęliśmy jak na komendę? lecz ja znowu nic nie słyszałem. Nie było śród nas wojskiego, któryby „uchem ziemię zapytał“. — Uplynęła długa chwila, aż znowu młode moje uszy, czulsze widocznie od uszu starszych myśliwych, pochwyciły dalekie „cienkie“ szczeknięcie. — Gonią — powtórzyłem. Po chwili usłyszał i gajowy — a chwila jeszcze i zaczęły nas dolatywać i inne głosy ogarów. Nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że niedźwiedź wracał do ostępu.

Zelektryzowani tym gonem pobiegliśmy z powrotem na stanowiska i tu, na moje szczęście, zaszło zamieszanie. — Silne młode nogi, a może i mimowolna porzeba rozgrzewki uniosły mnie „zadaleko“. Biegiem podążałem za mną już tylko jeden młody gajowy, który u skraju sta-

rego świerkowego drzewostanu, przy jakiejś „łohczynie“ pokrytej olszyną, wskazał mi ręką stanowisko i niebawem skrył się na zawrocie krętej dróżki. Zostałem sam jeden i w znacznym oddaleniu od reszty myśliwych. Gon się zbliżał, już nie były to oddzielne psie głosy, a jedna zgrana kapela, nad którą dominował gruby głos któregoś ogara. Zdawało się, że głucha przed chwilą puszcza łączyła się w tej niezwykłej muzyce zgodnej psiej mowy, z której się wyczuwało, że gonią na oko i że tuż, tuż całą ławą idą za zwierzem. Urywane głosy jakby wołały, że to nie lis ani zajęć, a sam „puszcz imperator“ idzie przed nimi!

Dużo pięknych gonów słyszałem potem w mem życiu, były to głosy dobrych najlepszych sfor naszych gończych, ale takiego gonu, z któregoby przemawiało tyle żywiołowej zawziętości, nie usłyszałem już nigdy. Dziś jeszcze po 44 latach gra w moich uszach ta cudowna orkiestra, a myśl ulatuje hen daleko na kraniec naszych kresów, rzuconych przez „„umniejszycieli“ bolszewikom na pastwę.

Drgnąłem, jakby ktoś mnie potrącił — pilnuj! ozwał się głos gajowego. Skierowałem wzrok w jego stronę i w tej chwili ujrzałem jak duża czarna masa raz i drugi „przewaliła“ się w gąszczu, a z tyłu za nią, niepomiernie zdawało się małe, mknęły przez wywroty i zwały po czciwe pieski. Zwierz szedł na mnie na kulawy sztych. Przed moim stanowiskiem była mała „rzedzina“ z osną w środku olbrzymią sosną — niedźwiedź właśnie już do niej dochodził. Trzymałem go na muszce mierząc na łopatkę. Coś mu się jednak w tej chwili wydało, najprawdopodobniej musiał mnie zwietrzyć, gdyż nie zważając na bliską obecność psów, raptem przystanął, uniósł potężny łeb i jakby wzrokiem badał las przed sobą. Dzieliła nas przestrzeń 20 kroków. Skorzystałem z momentu — przesunąłem błyskawicznie muszkę „pod ucho“ i wy-



Podgorzałka

fot. A. Dobrowolski

PIÓRKA Z KACZEGO OGONA

Nieraz na łamach „Trąbek myśliwskich“, zarówno w niniejszej niefrasobliwej rubryce „Piórek“, jak i w specjalnych „poważnych“ artykułach karciiliśmy niepojęte nieuczucie reporterów naszych pism codziennych, wypisujących bzdurstwa na temat „plagi wilków“: potworne, wysane z palca wieści o wilkach rzucających się na ludzi w obrębie miasta Wilna, o straszliwych szkodach czynionych przez wilki w dobytku ludzkim, o biednych podróżnych, oprymowanych przez stada głodnych wilków etc. etc. Nie będziemy powtarzać poprzednich naszych gromów, ani nie będziemy dochodzić źródła tych głupstw wilczych: bo czy zostały one wywołane prostą chęcią zapełnienia pustego miejsca w numerze gazety, czy odgrywały tu rolę nawet pewne demagogiczne tendencje (bo i tak bywało) — nie o to chodzi. Chodzi o to, że „michałki“ te były od początku do końca nieprawdziwe. Stając w obronie niesłusznie szkalowanego wilka, mieliśmy na celu nie samą tylko prawdę łowiecką. Zawsze, ilekroć dementowaliśmy kolejne głupstwo wilcze, zawsze wskazywaliśmy na szkodę takich głupstw dla reputacji kultury polskiej zagranicą. Co pomyśli Anglik lub Francuz — pytaliśmy — gdy wyczyta w polskich „poważnych“ czasopismach, że wilki bezkarnie niszczą dobytek ubogich włościan kresowych, a nawet pożerają żołnierzy polskiej straży granicznej?... Dziś już, niestety, wiemy, co pomyśli... Przed rokiem zasłużył pochlebną opinię wśród polskich kół łowieckich zyskała książka p. Coche'a „Paysages et chasses de Pologne“. Maurycy hr. Potocki w przedmowie do tej książki słusznie powiedział: „książka jest piękna, prawdziwa, napisana z rzadkiem zrozumieniem przedmiotu...“ A jednak i do tej pięknej i prawdziwej książki wielkiego przyjaciela polskich myśliwych i admiratora polskich łowów wkradły się drobne napozór nieścisłości, jednak dla prawdziwego myśliwego Polaka przykre... Wkradły się, trzeba to z naciskiem podkreślić, nie z winy autora. Bo oto, jak dosłownie pisze p. Coche na str. 121: — „widziałem zresztą niedawno w gazetach polskich, że pewien żołnierz został pożarty przez wilki; przed śmiercią zdolał dwie sztuki zarażać szablą, lecz w końcu musiał paść wobec ich liczby...“ Oto jak informują gazety polskie swych czytelników i oto jakie są skutki takiego informowania: do poważnej książki — napisanej przez cudzo-

palilem, a mój niedźwiedź martwo zwał się w miejscu. — Nie przypominam sobie, czy miałem kiedy w życiu szczęśliwą chwilę od tej po tym strzale.

Bolesław Świątorzecki

ziemka jaknajprzychylniej dla Polski usposobionego, przedostaje się fałszywa, a wręcz kompromitująca nas wiadomość, że wilki są w Polsce groźne nie tylko dla owieczek chłopskich, lecz nawet dla przedstawicieli naszej siły zbrojnej. Nieboszczyk Podbipięta powiedziałby zapewne: słuchać hadko!

**

Ponieważ jesteśmy przy francuskiej literaturze łowieckiej, tedy nie od rzeczy będzie wspomnieć o innej książce myśliwego Francuza, która się ukazała prawie równocześnie z książką p. Coche'a. Mam na myśli dziełko p. G. Oudard'a p. t. „Chasses féodales d'aujourd'hui“. Kresząc w niem szkice z polowań w Rosji, Polsce i Rumunji, autor najwięcej miejsca poświęca Polsce. Jakkolwiek w opisach p. Oudard'a nie brakuje nieścisłości, to jednak czytelnik polski chętnie przebaczy je autorowi ze względu na sympatyczny, a nawet serdeczny ton, z jakim autor opisuje polskie łowy i polskich myśliwych. A jednak i do tej książki przesyłały się grubsze „nieścisłości“ powstałe, niestety, znowuż jak i w książce Coche'a, nie z winy autora, lecz z winy polskich informatorów. Oto, zanim jeszcze p. Oudard zdążył się zapoznać z polską knieją, jakiś polski „stary myśliwy“ tak go informuje o rysiu i o głuszcach: — „rys — to pantera północny; susy jego sięgają 14 metrów...“ „do głuszcza mierzy się w ciemności, kierując się tylko uchem; z chwilą gdy głuszcza milknie, strzelec winien pozostać nieruchomym i czekać z następnym strzałem, aż pieśń zacznie się nanowo...“ A inny „doświadczony“ myśliwy z okolic Wilna (?) tak mówi o wilkach: „Nie przeczę, że każdej zimy, zarówno u nas w Polsce, jak i w Rosji i Rumunji, bezbronni chłopcy bywają pożerani przez wilki; samotne kobiety i dzieci stają się zresztą najliczniejszymi ich ofiarami“. ...Nie mamy racji nie wierzyć p. Oudardowi, że wszystkie te głupstwa istotnie posłyszał z ust polskich myśliwych. Z łatwością możemy sobie wyobrazić, jak te opowiadania wyglądały: „En buvant de l'alcool après le diner“ (jak barwnie zaczyna p. Oudard) — rozkochani myśliwcy polscy, podnieceni wzmiankowanym alkoholem, pozdrościli laurów Zagłobie i Radziwiłłowi Panie Kochanku: — co szkodzi nastraszyć trochę Francuza? I oto w barwnych ich opowiadaniach staje się pocziwy rys straszny panterą, skaczącą na 14 metrów i „atakującą człowieka, który na jej oczach zabił rysia - samiec“. I stają się biedne wilki istną plagą, pożerającą „każdej zimy“ liczne kobiety i dzieci!... Wysiłki podochocnych nemrodów polskich spaliły na panewce: Francuza nie udało im się nastraszyć, natomiast głupie ich żarty stały się powodem ukazania się w poważnej bądź co bądź książce głupich i nieprawdziwych ustępów o polskim łowiectwie.

PORANEK W PUSZCZY

Zaledwie stary pociemniały zegar ścienny obwieścił północ, wypełniając donośnym, metalicznym odgłosem gongu pokoje leśniczówki — już się ocknąłem z pokrzepiającego snu, by nadal drzemać czujnie, łowiąc jednocześnie uchem słabe szmery podwórza, dolatujące z okna. Usłyszałem też niebawem szybkie, dudniące kroki, zmierzające ku domowi i chrząst klucza w zamku. Nadehodził gajowy, który miał mnie towarzyszyć w wyprawie na głuszcza. Cichutko wymknąłem się z pograżonej w głębokiej ciszy leśniczówki i zbiegłem po betonowych stopniach ganku.

Na dworze panowała głucha noc, ciemna, bezgwiazdka. Czarna płachta nieba zawisa nisko nad postrzępionymi wierzchołkami sosen, nad smukłymi piramidami świerków. Lekki wietrzyk trząskł czubami drzew, ginących w atramentowej pomroce, przenikając ostrem, mroźnym tchnieniem do głębi. Zakrzepła, twarda gleba dudniła głośnie pod stopami, szeleściła miazdżoną, oszronioną trawą, lub trzeszczała warstwą deptanego lodu.

Minąwszy rozrzucone zagrody wioski — zagłębiliśmy się w puszcze. Tutaj śmieiej ku drodze przysunęły się drzewa, zwierając nad naszymi głowami szeroko rozpostar-

te baldachimy konarów, pod którymi panowały się nieprzeniknione ciemności. Sylwetka idącego przedemną gajowego zlewała się całkowicie z kolorystą głębi leśnej, to też jedynie słuchem stwierdzałem jego obecność i kierunek drogi. Miejscami brudną, niewyraźną białością zamajaczył płat poplamionego przydrożnego śniegu, albo ślizgały się nogi po tafli zamarznętej kałuży, która często pękała z trzaskiem pod ciężarem człowieka. Wówczas słyszało się za sobą syk wydobywającej się bąblami na powierzchnię wody.

Ciężka była to droga. Stopy wykrzywiały się na twardej grudzie, obijały o leżące gałęzie, potykały o wystające korzenie, grzęzły w bajorach, albo rczjeżdżały się na lodzie. Wzrok nie mógł oddać najmniejszej usługi, zastępował go kij, wysuwany daleko wprzód, czujny i wrażliwy na każdą nierówność terenu.

Stopniowo jednak szeroko rozwarte oczy przyzwyczajały się do ciemności i zaczynały rozróżniać najbliższe otoczenie. Odwieczna puszcza widocznie litowała się także nad marnym dwunożnym, niedołącznym stworzeniem, gdyż cofała się coraz częściej od nas

ukazując połacie mszarów, albo polan, zdzierających gęstą zasłonę gałęzi z czarnego firmamentu. Niebo przejaśniało się, nabierając odcienia granatowego, na tle którego jęła się zarysowywać misterna koronka wierzchołków. Zimny, świeży prąd powietrza owiał mroczne gęstwiny, zwiastując zbliżenie się anemieznego, przedwiośniatego świtu. Daleko na moczarze odezwały się żórawie.

Wyniosłe pnie szemrzącego boru pozostały za nami. Weszliśmy na rozległy zamglony teren mszarów, o dużych wystających z wody kępach mchu, dźwigającego niskie, rachityczne i koślawe sosny. Miejscami trzaskały pod nogami uschłe badyle zesłonecznej trzciny, lub szeleściły krzaki bagna, ocierające się o cholewy butów. Jasną, prosto wyciągniętą smugą zamajaczyły kładki — trzy obok siebie leżące dragi, oparte bądź to na specjalnych podkładach, bądź na kępach. Teraz zwały się i sprężyły mięśnie pulsujących nóg, moeniej oparły się ścisłane w rękach kije, dopomagając do utrzymania równowagi. W takt naszych kroków skrzypiały przeciągle uginające się żerdzie kładek, chlupała pod nimi woda. Parę kilometrów takiej drogi i oto znowu stopy wyczuły miękkie, mehowe podłoża, tak miłe i wygodne, miłośnie cału-

jące obuwie dotykaniem puszystych, wilgotnych warg.

Do tokowiska już niedaleko. Zatrzymujemy się i nadśluchujemy, czy czarnopióry, brodaty bard tych uroczysk nie zdradzi swej obecności. Ale dokoła panuje cisza, tylko wiatr porusza kiściami igliwia, które ociera się o siebie i monotonnie szeleści. W dali jęklonie zawodzi puszczyk.

Ostrożnie jak żóraw podnosząc nogi i badając starannie stopami grunt — posuwamy się powoli ku przodowi. Niebo zbladło, rozjaśniło się, rozlewając na wchodzie mrozu stalowej barwy, gdzieniegdzie tylko nasiąkającej bladym fioletem. Subtelnym rysunkiem wyodrębniają się z zielonego chaosu poszczególne czuby i gałęzie. Świta. Ciemne dotąd mehowe kobierce nabierają rumieńców życia, pstrzą się żółto, rudo i rdzawo. Wierzchoły sosen mszarnych odzyskują zieleń. Blade światło rodzącego się dnia przesiąka przez kolumnadę okolicznych borów, wypęza na polany i błotne halizny, zapala na kałużach rozlanej wody miliony iskier.

Donośną wrzawą wypełniają moczary obudzone żórawie. Ze świstem przecinanego powietrza leci pojedyncza krzyżówka kwacząc przeraźliwie, zniża się i z łopotem zapada w błoto. I nie umilkł jeszcze szum

Kilka słów o naszym rysiu

Rys i wilk — są to dwa okazy fauny krajowej, na widok których zdradza serce najbardziej zblazowanego myśliwego. Lecz wilk jest o wiele pospolitszy od rysia, to też maksimum emocji dostarcza rys zjawieniem się swem na stanowisku, gdy na swych miękkich, aksamitnych łapach wysuwa się tajemniczo z gęstych zapustów świerkowych, a barwną koszulką odbija się jaskrawo na tle zimowego krajobrazu.

Dzisiaj, gdy jubileusz dziesięcioletni naszych „Trąbek“ podnieca wyobraźnię i zmusza myśl do cofnięcia się w ubiegłe, pełne wrażeń i przeżyć myśliwskich lata — najchętniej myślę o swych łowach na rysie, jako że należę do tych niefelicznych, zdaje się, myśliwych, którym los, czy też św. Hubert, pozwolił na względnie częste spotkanie się z tym zwierzem.

O rysiu pisało się już nie mało. A jednak zdania co do jego obyczajów są naogół bardzo podzielone. Dotychczas są myśliwi, którzy przypisują rysowi jakąś nadzwyczajną krwiożerczość, odżywianie się tylko ciepłą krwią ofiary, do której podobno nigdy nie wraca, aby zaspokoić głód, będąc w wiecznym poszukiwaniu tylko ciepłej, świeżej krwi. Legendy tego rodzaju otaczają naszego rysia, czyniąc zeń jakiegoś okrutnego potwora zwierzęcego rodu, niczem „La passionaria“ hiszpańskiej rewolucji. Żudzeniom pod tym względem uległ i znany nasz przyrodnik i pisarz łowiecki Jan Sztolcman, który mówi w swoim dziele „Łowiectwo“ str. 174: „Na miejscu zjada (rys) tylko nieznaczoną część (2 do 3 f.), a resztę porzuca i więcej do niej nie wraca“.

Wogóle legendy już tradycyjnie przylgnęły do naszego rysia. Bo oto w czasach bardzo odległych, a mianowicie w roku 1689, Haur w swym dziele „Skład“, albo „Skarbiec znakomitych sekretów ekonomji ziemiańskiej“ odmawia rysowi normalnego sposobu rozmnażania się: „Pardus, od którego rys pochodzi, w murzyńskiej ziemi znajduje się. W tych tam krajach, gdy z trudnością szukając, znajdują wodę dla napoju i posilenia swego, zbiegają się z sobą oraz łwice, z którym ten pardus łączy się i legną się z nich rysie, mając wzory po sobie podobne pardusowi; bywa z nich jeszcze trzeci rodzaj z wielbłądzicy, gdy się z nią pomieniony łączy pardus“.

A może dawne i nowe legendy mają ze sobą coś wspólnego: zwierzę, które ma tak niezwykle pochodzenie — niezwykle też zdradza do ciepłej krwi apetyt.

Moje spostrzeżenia w każdym razie nie stwierdzają tego. Przytoczeniem kilku faktów, których byłem świadkiem podczas moich polowań na rysie, chciałbym rzucić trochę światła na naturę tego pięknego i, niestety, coraz radszego zwierza. Przedewszystkiem winieniem

nadmienić, że moje uwagi co do obyczajów i życia rysia opieram na bezpośrednich obserwacjach i doświadczeniu łowieckim. Na wręcz przeciwnym stanowisku stanął jakiś myśliwy, który przed paru laty zastanawiając się na łamach „Łowca“ jak rys reaguje na chorągiewki — twierdzenia swe oparł na spostrzeżeniach nad zachowaniem się... swojego wyżła.

Nie idę więc śladami owego myśliwego, który, zdaje mi się, niewypchanego rysia nigdy nie widział, a przytaczam fakty.

Rys w celach zaspokojenia głodu przebiega w zimie znaczne przestrzenie, polując na ptaki i zwierzęta leśne. Tropiąc rysia nieraz widziałem ślady jego skradającego się do głuszcza, a nawet jarząbka. Przedewszystkiem jednak poluje na zające i sarny. Zająca zjada najwyżej połowę, drugą zakopuje do śniegu i łatwo daje się złapać w żelaza, w które jako przynętę wkłada się ową drugą zmagazynowaną przez rysia połowę zająca. Najlepszy dowód, że do ofiary swej rys powraca. Zdarzyło mi się też stwierdzić, że trzy rysie przyszły nazajutrz do upolowanego przez jednego z nich poprzedniego dnia kozła. Gdy dwa padły na polowaniu — trzeci w ciągu szeregu dni po wracał do tegoż kozła, aż do czasu całkowitego jego skonsumowania. Widywano też rysia

na ścierwie końskim, przeznaczonym dla wilków i dzików. Bywały też wypadki złapania rysia w żelaza przy ścierwie końskim. Nie jest to dowodem, aby rys miał się żywić, na wzór wilka, padliną, lecz tylko tego, że przyciśnięty głodem, nie gardzi padliną, a z reguły, jak świadczą wyżej przytoczone fakty, powraca do upolowanej przez siebie zwierzyny, której resztki magazynuje w śniegu.

Drugą sprawą, na której się rozchodzą zdania myśliwych, to sposób reagowania rysia na chorągiewki.

Z mojej praktyki mogę wywnioskować tylko jedno: rys na chorągiewki nie reaguje wcale. Wiem, że wielu myśliwych zaoponuje mi, lecz nie wiem, na czym opieraliby swą opinię.

Mógłbym zacytować dziesiątki wypadków, kiedy rys przechodził najspokojniej przez podwójny nawet sznur, nie zdradzając najmniejszego przestachu. Mało tego, twierdzą stanowczo, że nie spotkałem wypadku, aby rysia chorągiewki zatrzymały, lub zmusiły zmienić obrany kierunek. Słyszałem od myśliwych, będących innego niż ja zdania, że w pewnym wypadku goniony rys szedł dłuższy czas wzdłuż sznura i nie przekroczył go. Mógł to być zwykły wypadek, że droga obrana przez rysia, przechodziła wzdłuż sznura. Zwierzę reagując na sznur, zachowuje się inaczej: nie

idzie wzdłuż sznura, a stara się go przekroczyć zbliżając się doń bezpośrednio i odskakując przestraszony, co łatwo stwierdzić po tropach.

Poeci opisując rysia zwykli umieszczać go na drzewach. Za poetami poszli myśliwi, którzy widzieli lub polowali na rysie — w swoich marzeniach.

Ja nigdy rysia na drzewie nie widziałem i nie rozumiem, co w obecnych czasach mogłoby go zmusić do takiej leśnej akrobacji. Rys bowiem jest dosyć wysoki na nogach i pod tym względem przypomina leoparda. To też zmyka prawie również szybko jak wilk i tylko w dawnych czasach, gdy polowano z ogarami, dobre mocne ogary na głębokim śniegu stanowiły rysia po parukilometrowym gnie. Przed wojną zdarzało mi się strzelać rysie, polując na nie właśnie w ten sposób. I zdawałoby się, że dla rysia nie mogącego rątcować się ucieczką, był to najodpowiedniejszy moment dla wykazania swych akrobatycznych zdolności. Lecz i w tych wszystkich wypadkach rys wolał bronić się na ziemi. Słyszałem jednak z ust wiarogodnych, że młode, niewyrośnięte rysie, zaskoczony znieca, chronią się rzeczywiście na rosochatych drzewach.

Na zakończenie słów kilka o siedliskach, zajmowanych obecnie przez rysie. Mynem jest, że rysie wymagają dla swego bytowania w danej okolicy wielkich, omal dziewiczych puszczy. W rzeczywistości rys zamieszkuje przedewszystkiem miejscowości lesiste, bo na pola wychodzi rzadko i w tych wypadkach niezbyt oddala się od lasu. Lecz głównymi ostojami rysia są gąszcz — gęste świerkowe i mieszane zapusty, położone nawet wśród pól, naturalnie, jak się rzekło, w dostatecznie zalesionej okolicy. W takich młodniakach rys chętnie kładzie się na dnie i, o ile taki zagajnik nie jest nawiedzany przez hałaśliwe naganki, legnie się tam nawet bez względu na jego obszar.

Dla zwierzostanu jest rys bezwzględnie szkodliwy, lecz głównie niszczy zające. Sarny znacznie rzadziej padają jego ofiarą, pod tym względem wilk jest o wiele szkodliwszym i niebezpieczniejszym. Z tego względu, jak również z racji rzadkości rysia, ochrona jego musi być utrzymana w całej pełni i, sądziłbym, że jeden tylko miesiąc w roku może być poświęcony powabnym łowom na rysie, lecz miesiącem tym może być tylko styczeń, bo w grudniu nieraz brak zupełny pokrywy śnieżnej uniemożliwi tropienie.

Co się tyczy szkód wyrządzanych przez rysie w zwierzostanach zajęczych, to sądzę, że jeden strzał do rysia ma więcej uroku, niż sto do zająca, bo, jak mówili starodawni myśliwi: „i zając dobry na misę, ale to sprośna, kto nań specjalnie poluje“.

Jan Borowski.

Zmęczenie



fol. adm. M. Borowski

jej skrzydeł, a już dolatują nowe dźwięki: para słońce płynie spokojnie tuż nad ziemią. Ciągną wprost na nas lekceważąco, powoli, by o metr od zniemczonych postaci wznieść się nieco wyżej i zboczyć w gąszcz. Głuszcze jeszcze nie gra, lecz cieszę się nawet z tego, gdyż nie mi obecnie nie przeszkadza ulecieć myślami w jakąś nieznaną, nieokreśloną bliżej krainę szczęścia i radości.

Jakże dokładnie odczuwam teraz dobroczynny wpływ przyrody na system nerwowy człowieka! Stoję w bagnie, czekając na dziwnie tajemniczą elektryzującą słuchacza pieśń ptaka, na fascynującą serenadę, nie mającą sobie równej w naturze. I nie z tego, co gdzieś pozamną daleko w nieście pozostało, nie mać mego obecnego szczęścia, nie prześladowe widmem trosk i cierpień. Wszystko, co doniedawna tak olbrzymie dla mnie posiadało znaczenie, co kłopotliwym niepokojem gnioło mi serce dziś straciło zupełnie całą wagę, stało się błahe, głupie nawet. Poczuliem się dzieckiem puszczy, oczarowanym jej urokiem i powagą, zasłuchanem w szept boru, który brzmiał, jak najcudniejsza symfonia. Było mi tak dobrze, tak strasznie dobrze, że zgrozą przejęłaby nawet myśl, iż może już wkrótce ten przedziwny nastrój przyniesie,

a życie potoczy się codziennym swym trybem. Takiego stanu duszy najwytrawniejsze pióro opisać nie potrafi, gdyż ujęć go słowami niepodobna, tak, jak nie da się odtworzyć na papierze piękno sonaty księżycowej Beethovena, czy czar zawarty w preludjach Chopina, wykonywanych przez prawdziwego artystę. Chorał puszczy jest właśnie taką kompozycją, a wrażliwa i poetyczna dusza ludzka — wirtuozowskim odtwórcą. Wiosennym rankiem w kniei, podobnie jak na koncercie niezrównanego mistrza tonów, popada człowiek w stan błogiego zapomnienia się, w rozkoszną ekstazę, w czasie której świat ze wszystkimi swymi przeciwnościami i troskami blednie, oddala się od nas, ginie. Jesteśmy ogromnie szczęśliwi, jest nam tak bardzo przyjemnie, a nie wiemy nawet, skąd spływa na nas ta przeolbrzymia radość, ten przedziwny czar. Jest to tajemnica wieczystego i niezaprzeczonego piękna, które kryje w sobie dzika, nie zniekształcona przez człowieka natura. I dlatego polowania na głuszcze, przenoszące ludzi na łono pierwotnych ostępów, zespalaające przemechanizowanego, nowoczesnego nemroda z czarem wiosennej puszczy, słusznie noszą miano łowów królewskich. I ja teraz długie chwile przepędzałem w błogim upojeniu, w oderwaniu

całkowitem od wypadków życia codziennego, dziwnie uśniechnięty i raodny.

Aż nagle ciche, ale zarazem dźwięczne i jakby metaliczne kłaśnięcie ozwało się w oddali, gajowy zwrócił ku mnie oblicze. Zrozumiałem, że rozpoczynamy podchód. Znowu zabrzmiała ostra zwrotka tajemniczej pieśni, jak tykanie starego, gdańskiego zegara w zamkowej sali, budząc mnie całkowicie z dotychczasowego nastroju. Była ona jakaś skromna, jakby nieśmiała, czy załkniiona, a jednak na jej dźwięk drżał w człowieku każdy fibr jego duszy, nieomal każda kropla jego krwi. Ta potęga głuszcowego śpiewu ośmiadła nawet starym gajowym, co setki ich już przez życie wysłuchał, a pomimo to dygotał teraz, jak w paroksyzmie febrzy. Nowa pieśń. Skoczyliśmy. Z głośnym chlupotem rozprysła się woda pod stopami, zaszeleściły kępy bagna, ale głuszcze zawodził ciągle, a nas niosła namiętność myśliwska hen, daleko w głąb błotnistej mszary, ku ezubom wysokich sosen, sterczących wyniosłe nad łanem ich skarłatych siostrzyc. Szlifowania jeszcze nie słyszę, zato delektuję się melodją kłapania rytmiczną, dziarską i namiętną. A kogut, jakby popisując się swą wirtuozowską techniką, pieścił i cyzelował każdy dźwięk, każde kłapięcie.

Naraz uciął. Zamarliśmy w pół kroku — czekaliśmy dalszych zwrotek wiosennej serenady. Było już zupełnie światło. Niebo przyoblekło się w lazurową szatę poranka, ozdobioną białą kryzą wzorzystych obłoczków. Rdzawe pniaki sosen żarzyły się szerywonym blaskiem, przechodzącym na gałązkach w czyste złoto, które rozrzedało nawet ciemny smaragd kołtuniastego igliwia. Wilgotne kępy podłoża lśniły jak wypolerowany mosiądz, posrebrzony miejscami pasmami wyblakłych gwiazdek torfowców. Nędzne krzewiny bagna, ze stolonami pokornie zimowymi listkami, nabierały w świetle wyglądu karłowatych palm, czy fantastycznych paprotek, upiększających wielobarwną makatę, szalenie zaświecającą bezmiar mszary, iskrzącego się płamami kałuż, jak djademami brylantów i kryształów, przechodzących często w kolja chryzolitów i opali. Rozmaitość barw i odcieni porwała oko, lecz i raziła je boleśnie chaotyczną mozaiką iskier i blasków. Moczar tworzył sobą przepiękny krajobraz, którego jednak wiernie żaden malarz oddaćby nie potrafił, gdyż przytoczyłyby go całkowicie nawałem kontrastów i harmonji, scen i fragmentów, nagromadzeniem wreszcie form i kształtów. By obraz taki utrwalić — potrzeba byłoby dużo rzeczywistości. Wyłączyć

Pani poluje

Od pewnego czasu zauważyłem w prasie polskiej ironiczne ustosunkowanie się do pań polujących. Feljetyony poruszające ten stosunek, podpisane są przez panów, których nazwiska mało znane są światu myśliwskiemu. Pozwolę sobie zabrać głos w tej sprawie jako myśliwy, który poluje na terenach całej Polski, a czasem nawet i zagranicą (choć to rzadko się zdarza, gdyż pieniądze, paszporty...). Na licznych polowaniach spotykałem panie polujące i towarzyszące orszakowi myśliwych.

Jeśli poruszamy temat o paniach polujących, możemy nawet sięgnąć pamięcią wstecz, do czasów historycznych. Niejedna białogłowa parała się myślistwem, które nie tylko „jest miłą i godziwą rozrywką, lecz też i niepotrzebne wapory z głowy wypędza”. Niejedna królowa polska towarzyszyła mężowi na łowach na tura i żubra lub też i niedźwiedzia, gdzie łatwo było o niebezpieczeństwo, niejedna z nich stała sama z oszczepem w dłoni na stanowisku. Wzmianki o łowach królewskich, w których brały udział i damy, spotykamy w każdej kronice, skąd przedostały się potem do literatury pięknej. Wystarczy przeczytać Krzyżaków Sienkiewicza, by zdać sobie sprawę, że dam polujących było zawsze w Polsce wiele.

A dziś... Dziś spotykamy również panie, których nie przestraszy widok groźnego odyńca. Panie polujące musimy jednak podzielić na trzy kategorie. Pierwsza to panie, towarzyszące myśliwym na polowanie, jednak nic z łowiectwem nie mające wspólnego. Dla nich knieja to nowy teren podbojów, gdzie łatwiej jest nieraz okazać zgrabną figurkę, ubraną w efektowny strój łowiecki. Drugi rodzaj pań — to panie, które same polują, tych stosunkowo jest niewiele, ale ich nie brak. Są nawet panie piszące o polowaniach, proszę kto nie wierzy,



fol. Jerzy Mohl

niech przejrzy dodatek łowiecki do dziennika „Czas”, a bardzo często znajdzie tam inicjały M. de L. Wtajemniczonym dobrze wiadomym jest kto ukrywa się pod tym kryptonimem. Znałem panie, które nieraz na polowaniach na kaczki imponowały nam mężczyznom swą energią i wytrzymałością na trudy tego rodzaju łowów. Pamiętam jedno polowanie z psami, na dziki we Wschodniej Małopolsce, w którym brały udział dwie panie. Stały one z drylingami na stanowiskach, na jedną z nich szarżował raniiony odyńca, myślałem, że już będzie bieda. Tymczasem owa pani dopuściła odyńca na dziesięć kroków i spokojnie wymierzywszy powaliła go celnym strzałem. Niejeden myśliwy pozazdrościłby takiej zimnej krwi.

Są jeszcze i inne panie, dla których miano pań polujących nie będzie fałszywym. Te są cudownymi partnerkami w odczuwaniu tej olbrzymiej gamy uczuć i przeżyć, jakimi nas darzą łowy. To panie, których urok łowów również silnie chwytła za serce, jak i nas polujących, lecz które nie strzelają, a tylko towarzyszą nam na łowach.

Przypominam sobie jedną moją bardzo dobrą znajomą, która była w zasadzie bardzo przeciwna polowaniu ze względów humanitarnych. Pewnego dnia zaprosiłem ją do lasu, by mi towarzyszyła na polowaniu na ciągu słonek. Po długich wahaniach pojechała. Urok lasu, budzącego się ze snu letargicznego po zimie, śpiew ptaków, cudna wiosenna pogoda, wreszcie trochę sentymentalny nastrój wieczoru wraz z kumkaniem żab, wspaniale nadawał się na pozyskanie nowej adeptki św. Huberta. Długo siedzieliśmy w lesie rozmawiając o łowach. W rozmowie starałem się moją towarzyszkę wykazać cały olbrzymi czar obcowania myśliwego z przyrodą. Może coś tam przejęła się moim poetyckim nastrojem, ale kiedy nad głową zachrapała nam słonka, ów tajemniczy, upragniony ptak, chciałem strzelić, wówczas z płaczem w głosie prosiła, bym nie strzelał. Poszedłem za jej prośbą, zrozumiałem jednak, że w ten sposób nie dam jej żadnych emocji myśliwskich. To też kiedy druga słonka nadleciała, mimo próśb — strzeliłem. Niestety spudłowałem. I o dziwo, owa obrończyni zwierząt zaczęła robić mi wyrzuty, jak mogłem taką łatwą słonkę spudłować. Zakląła nawet. Wreszcie nadleciała trzecia ptaszyna, którą strąciłem dobrym, lecz bardzo łatwym strzałem. Zamiast wymówek otrzymałem uśmiech i spojrzenie... Zapytałem się jej w powrotnej drodze, czy dalej będzie przeciwna polowaniom, odpowiedziała, że jeszcze kilka razy się przekona, a potem, no, to zobaczymy.

ze swego płótna. Zbyt zuchwale bowiem tłoczy się tu przyroda. A jednak malarz, po dokonaniu takiej pracy, otrzymałby, rzecz prosta, coś zupełnie odmiennego od zamierzonego arcydzieła.

W głębi mszaru wszczął się jakiś hałas. Niskie basowe dźwięki, szybko po sobie następujące, zlewały się w jeden głuchy, charakterystyczny krzyk, z którego wyłoniło się w końcu głębokie, nosowe kwokanie. Szybko bijąc skrzydłami wzniosła się nad poziom sosen pstra sylwetka wlatującej guszycy. Dużym spiralem okrążyła ona ostrów i zapadła z trzaskiem między mszyste wypukłości łona mokradła. I znowu namiętny, kuszący zew miłości szarpnął okolicą.

Nie ścierpiął tego stary tokowik. Perlista strofa pieśni z żywiołową gwałtownością buchnęła z oświetlonych konarów sosny. W każdy poszczególny takt, w każdy dźwięk wkładał on teraz całą siłę, całą potęgę swego rozsądającego piersi uczucia. A kiedy ostrym pojedynczym tonem zamknął wreszcie zwrotkę kłapania — szlifował, drząc z emocji i natężenia, aż głucho zachrzęściły sterówki wachlarza, a gałąź zadygotała od tajemniczego dreszczu.

Zrobiłem jeszcze kilka kroków i skamieniałem. Na jednej z niższych gałęzi młodej choiny, tuż przy pniu, siedział roz-

kochany głuzecek. Duża, ciemna sylwetka odeinała się wyraźnie od szmatej nieba, wypełniającej lukę pomiędzy konarami drzew. Szytwe, szeroko rozpięte pióra wachlarza przecinało pasmo niekształtnych białych plam, zlewających się ze sobą w rofnie łańcucha. Czerwone brodawki brwi jaśniały w świetle jak róże.

Tokował. Śpiewał jedną z tych strof, brzemiennych miłością do swej kochanki, które rodzą się z wiosną jak przyroda, a są piękne i porywające siłą uczucia. Bo nie brzmi w tej nucie żaden fałsz zdrady, nie czai się maska kłamstwa i niewiary, podłego występku i lubieżnego wyuzdania. Drży w niej tylko szczerze umiłowanie gatunku, tętni szaleńcza radość życia, porywa ekstazą triumfującej wiosny. I to jest właśnie czarem głuzeckiej pieśni, pieśni cichej, pozabawionej melodyjności, trelów i modulacji, a jednak kryjącej w sobie jakąś dziwną tajemniczość, jakąś nastrojową potęgę, której nie posiada żaden inny śpiew ptasi, choć są one może stokroć barwniejsze i bardziej śpiewne oraz doskonalsze technicznie.

Przez długie chwile pieściłem oko piękną sylwetką grającego koguta. Przyglądałem się subtelnym szczegółom jego upierzenia, stroszącej się brodzie, zakrzywionemu dziobowi barwy kości słoniowej. Ptak

Dziś jest najmilszym towarzyszem na łowach, rozumie ich urok, który wsącza się w duszę każdego, kto choć raz przeżył emocje podchodu do zwierzyny, kto choć raz widział te wspaniałe misterja natury, które właściwie tylko myśliwy ujrzyć może, on bowiem w pogoni za zwierzyną, dzień cały, a nieraz i nocę spędza w lesie.

Zapyta się może kto, dlaczego panie niepolujące ze strzelbą, lecz towarzyszące czasem myśliwym, nazywam paniami polującymi. Tu muszę wypowiedzieć konkluzję — czym jest myślistwo. Myślistwo jest podpatrywaniem zwierza, uczeniem się z bezpośredniej księgi natury, to głębokie odczuwanie przyrody. Łowiectwo — to uprawianie hodowli zwierzyny dla celów materialnych. A samo polowanie, sam strzał — to tylko epilog, to pewnego rodzaju budzenie się prainstynktu w człowieku, kiedy to polowanie stanowiło jedyny sposób zdobycia mięsa na wyżywienie i skór na odzież. I dlatego panie niepolujące, a odczuwające urok łowów, nazwałbym paniami polującymi. I te panie spotykamy często. Niech więc umilkną ci wszyscy, którzy z taką wściekłą ironią odzywają się o paniach polujących, bo gotowi jesteśmy pomyśleć, że to zazdrość przez nich przemawia.

Mieczysław Mniszek - Tchorznicki.

—:—:—

W numerze 3 z dnia 28 czerwea br. „Trąbek Myśliwskich“ ukazał się artykuł pióra Pana Leopolda Pac - Pomarnackiego pt. „Piątkowszczyzna“. Najprzejmiej dziękujemy Szanownemu Autorowi za ten śliczny, lecz zbyt pochlebny opis. Dziękujemy także za szereg wskazówek hodowlano - łowieckich, nam udzielonych, które przyezynią się do poprawienia zwierzostanu. Wdzięczni także jesteśmy za zachęcenie naszej młodzieży do „ochrony przyrody“ i rozbudzenie w nich zamiłowania do kolekcjonowania. Wspaniałe zbiory ptasich, który posiada Pan Pomarnacki, i znajomość naszej avi - fanny zaimponowały nam wszystkim i wskazują do jak wielkich rezultatów można dojść przy wytrwałości i u miłowaniu przyrody.

Juljanostwo Laskowiczowie

—:—:—

List do Redakcji

Czytając dodatek myśliwski z dnia 28. VI r. b. N. 3 artykuł Pana Pac - Pomarnackiego o Piątkowszczyźnie, zauważyłem, że są jeszcze myśliwi, którzy wierzą, że łubin trwały, jest paszą doskonałą dla zwierzyny działającej na przynętę.

O tem że tak nie jest, przekonałem się jako hodowca fachowiec, jeszcze przed 30-tu laty, gdyż łubinu tego nie jadają konie, krowy a nawet żydowskie kozy, — a to samo ze zwierzyną leśną, gdyż nie widziałem nigdy pomimo śledzenia mojego i licznej straży, odgrzyzonej gałązki lub kwiatu łubinu, szczególnie łatwo sprawdzać można było przy ścieżkach wydeptanych przez sarny i zające, ponieważ w tym czasie mają wybór różnych smaczniejszych i delikatniejszych roślin, — Latem więc nie zużyty łubin, pozostaje na pniu do jesieni, a wtedy czerniejący i spleśniały, pierwsza jesienią szaruga kładzie pokotem i ostatecznie gnije. — O tem żeby jesienią łubin służył za pokarm w takim stanie — niema mowy.

O zużyciu na karmę zimową tego łubinu susząc jako siano — nie nadaje się, gdyż roślina ta przy swej grubej łodydze, posiada duży procent wody i nie daje się wysuszyć, bo gdy kwiat i listki uschną i kruszą się — łodyga jest jeszcze mokra. — Wysuszamy zbierałem na zimową paszę (na próbę) nie wykazał żadnych zalet, gdyż pachnące suszone liście dębowe lub topolowe, zwierzyna chętnie zjadała, łubin pozostawiając niekniętym. Więc i tu dużo mozołu i pracy, pozostanie bez pożytku.

Łubin ten przechwalały różne składy nasion aby sprzedawać go na funty i kiła, — nadaje się jednak z pożytkiem do obsadzania wydm piaszkowych i obrywów a więcej na nic.

Natomiast jako karmę gwarantowaną i bez kłopotu, zalecam żarnowiec, który siac się powinno wszędzie przy duktach, drogach i na półkach karmowych. Latem zwierzyna go nie zjada, ale dopiero zimą przy śniegach i mrozach — ucztuje i objada doszczętnie. Jest przytem najzdrowszą karmą, tak jak pączki i kora osowa bo jest w stanie surowym i soczystym. Konieczna łubin siano w stanie suchym jest karmą niezbyt zdrową, ponieważ posiada duży procent części stałych i jest koniecznym zadawać coś świeżego (marchew, buraki lub gałęzie z osiny).

Piszę o tem nie dla krytyki, lecz jedynie aby niektórych hodowców wyprowadzić z błędu.

Józef Koperkiwicz.

(Szczuczyn k. Lidy).

ciała i bryzgi rubinowej krwi na ślicznym pancerzu ptaka zmaciłyby i pewnie przyemiły owe cudowne wrażenia z pierwszych łowów na głuzece. Zabiję go jeszcze kiedyś, gdy już może ani mszar nie wyda mi się równie pięknym, jak dziś, ani chorał przyrody równie melodyjny i nastrojowy... Bo pierwsze wrażenia są zawsze najpiękniejsze i najbardziej silne.

Kogut z mego debiutu głuzeckiego — żyje.

I kiedy ciepłe technienie przyszedł wiosny owionie prześlizną puszcę kresową, topiąc zwały zeszroniałych śniegów i rozluźniając kajdany mszarów, czy błot, kiedy drożdź śpiewak wzleci wysoko na strzałę stuletniego świerku, by dźwięcznym trelcem obwieścić mieszkańcom głębin leśnych, że już czas spieszyć na gody — na mszarnych wyspach zjawi się znowu stary głuzecek — tokowik i pośle w dal metaliczne strofy swej pieśni miłosnej, lub własnej ballady o urzeczonym sentymentalnym miejskim myśliwiec, co wolał unieść ze sobą klejnoty wspomnień na całe życie, niż krwawą pieczęć na jeden obiad.

I będzie szczydzić z niego stary kogut - tokowik, lub może... sehyli przed nim z uznaniem swą różami uwieńczoną głowę. Kto wie?..

Leopold Pac - Pomarnacki

MŁODE ŁOWIECTWO

Nr. 1

Organ Akademickiego Związku Łowieckiego U. S. B. w Wilnie

Rok I.

Młodzież a łowiectwo

Korzystając z apelu p. Redaktora Pawlikowskiego, by w jubileuszowym numerze „Trąbek“ zabrała głos młodzież, piszę ten artykuł, — poruszający kwestję ustosunkowania się młodego pokolenia do łowiectwa, jak również tego, co dzieli nas od pokolenia starszego, na tej niwie pracującego, które w ostatnich czasach nas do tej pracy powołuje, skarżąc się jednocześnie, że nie widzi po sobie następców, którzy poprowadzą przez nich podjętą i prowadzoną pracę na tem polu. A muszę przyznać, że odgłos ten jest ze wszechmiar słuszny, — gdyż wśród nas niema prawie nikogo, któryby łowiectwo traktował inaczej, jak miłą rozrywkę, względnie jako sport, gdzie kwestja strzelania i wzajemnego przestrzeliwania się, a zatem rekordu, gra rolę zasadniczą.

Przystępując do polowania jako do rzeczy normalnej, wchodzącej w program wakacyjny i zgóry się cieszymy, że wypukamy X naboń — że przestrzelamy tego czy innego towarzysza, a po wakacjach będziemy się mogli przechwalać pomnożonymi przez nas samych rozkładami i odległościami na jakie strzelaliśmy. Nie obchodzi nas ani hodowla zwierzyny, ani jej stan w łowisku, ani sposób prowadzenia polowania, nie mówiąc już o jakiejś tam pracy na polu ideowo-łowieckim, którą uważamy za bzdury i zostawiamy to innym, którzy jak to się powszechnie nazywa mają fijołka na tym punkcie. — My chcemy jednego: przyjemnej rozrywki wśród huku strzałów, licznego rozkładu a potem przyjemnego wieczoru, spędzonego w dobranem towarzystwie, przy kieliszku i brydzu.

Zapewne, że jak w każdej regule, są pewne wyjątki, tak i wśród nas trafi się jeden na tysiąc, co trochę inaczej się zapatruje, ale ten tysiąc go zagłusza.

A czemu tak jest — czy brak nam przykładu u starszych? — i tak i nie. I w starszym pokoleniu są tacy jak my, którzy idą po linii najmniejszego oporu i mało czem się różnią od kłusowników, a tylko dla formy, lub z pobudek czystego snobizmu udają myśliwych, lub szukają w rekordach satysfakcji. Ale są i ci drudzy z prawdziwym żylką myśliwską, połączoną z głębokim umiłowaniem i zrozumieniem przyrody, oraz znający jej prawa i tajniki, jak również samo łowiectwo. Ci właśnie pracują na polu ideowym, głoszą wzniosłe hasła a ostatnio do nas się z apelem zwracają, byśmy ich śladem podążyli, — i widzą, że nas brak. A czemu? — Bo świat się zmienił, idą nowe prądy, nowi ludzie, nowe prawa. My jesteśmy dziś zmaterializowani, pochłonięci przez świat techniki i postępu — nie rozumiemy czego od nas chcą, bo ich zrozumieć nie możemy, nie znamy tego wielkiego świata przyrody. Nie znamy flory, ani fauny naszego kraju, nic nas to zgoła nie obchodzi. Przywykliśmy traktować zająca, kuropatkę lub t.p. jako zwierzynę łowną, a to, co ma szpony i pazury jako szkodliwą i strzelamy jako do obiektu godnego strzału, ale nic nas nie obchodzi ich życie lub ich męka, gdy strzał śmierci nie spowoduje natychmiast, tylko ponowne konanie. Prze-

ciwnie, narzekamy na towarzysza, który szuka postrzałka, bo czas nam zabiera, śmiejemy się, gdy drugim strzałem dobija zwierzynę — „szkoda naboju“ — ciśnię się każdemu na usta.

Nie kochamy, tego, nie wczuwamy się w piękno jak samych łowów, tak i otaczającej nas przyrody, nie potrafimy tego zrozumieć, bo nas nikt tego nie nauczył.

Przyroda — to dla nas ciemna karta. W szkole jak powszechnej, tak i

będą składki wpływać tylko w okresach polowań, a w innych nie.

A wreszcie — czy będziemy potraktowani tak jak inne związki lub organizacje akademickie? — Zależać to będzie od nastawienia władz naszych... U nas w Wilnie trzeba z przykrością stwierdzić, że związek został zatwierdzony przez władze akademickie, ale żadnych praw ani zasiłku nie dostał, jako instytucja luksusowa — „burżuazyjna“, — a zatem zostaliśmy na lodzie.



„Przeprawa przez rów“

fot. Zygmunt Drzewicki

w gimnazjum nie uczono nas o przyrodzie nas otaczającej, a o jakichś komórkach, tkankach, plazmach, jądrach, meduzach, koralach lub o zwierzętach, które żyją w kropli wody, — a to co nas otacza, to zastawiano nam niewyjaśnione. Nie potrafimy powiedzieć, czy naprzykład łos należy do pełno czy pustorogich, mało tego — nie potrafimy rozróżnić sikory od zięby, lub jesionia od czeremchy, czy jodły od sosny.

Zbiory jak zoologiczne tak i botaniczne gimnazjów były dla nas zamknięte, a sama nauka przyrody nietylko nie mogła nam dać tego co by się w życiu przydać mogło, ale przeciwnie, nawet z całym jej programem była postawiona na ostatnim planie, wyśmiana, zbagatelizowana jako rzecz, która dziś nie ma racji bytu. Nic też dziwnego, że nie potrafimy pokochać tego, czego nie znamy. Przy dzisiejszym tempie i sposobie życia, przy dzisiejszej technice, wszystkie tamte rzeczy nie wpojone i nie poznane za młodu nie ciągną nas, a nawet wydają się śmieszne.

A zatem jaka jest nasza droga choćby tych pojedynczych z tysięcy? — czy organizować się sami? Nie wydaje mi się to rzeczą tak łatwą — a przy dzisiejszych kryzysowych czasach — prawie niemożliwą. Nie stać nas będzie na dzierżawę terenów, na straż, hodowlę zwierzyny, a wreszcie na samo polowanie. Oprócz zaś związek nietylko na samych wybranych, ale na w danej chwili temu chętnych, nie widzę tu pewnych podstaw materialnych, gdyż

piękna, — nie wyłączać parków miejskich;

2) nie zamykania się w ścisłych ramach towarzystw lub związków, a szerzenia jak słowem tak drukiem celów i wartości, jakie z łowiectwa płyną... Nieograniczania się do pism fachowych, nie narzekania w nich na prasę codzienną, lecz przeciwnie, zasilania jej prawdziwie wartościowymi łowieckimi artykułami. Obniżenia prenumeraty pism fachowych, by były one dostępne dla mniej możnych. Przeznaczenia pewnej ilości nakładu na cele propagandowe, a mianowicie na sporadyczne rozsyłanie gratis po szkołach, uniwersytetach, czytelnich lub bibliotekach. Podniesienia w tych pismach strony fachowo-łowieckiej, gdyż tylko wówczas spełnią one swe zadania, a przy obniżeniu cen prenumeraty zwerbują sobie, nowych, stałych czytelników;

3) wydania i rozpowszechnienia książki, któraby zawierała najważniejsze postulaty z łowiectwa, hodowli zwierzyny oraz obchodzenia się z bronią na polowaniu. Na podstawie tego, że tak powiem „vade mecum myśliwego“ powinien być przeprowadzany egzamin dla wszystkich, którzy się starają o wykupienie karty łowieckiej, względnie jej prolongatę, a przedewszystkiem dla nas młodych;

4) poparcia naszych dążeń, by powstające, względnie już zatwierdzone organizacje łowieckie młodzieży, były traktowane na równi z innymi, a nie jak to ma miejsce obecnie;

5) postarania się, by tenuta dzierżawna terenów w lasach państwowych była zredukowana do minimum dla związków i towarzystw łowieckich młodzieży, a nawet, by w pierwszym roku istnienia organizacji mogłaby być wogóle zniesiona. Wówczas nawet przy pewnych niepowodzeniach materialnych będziemy mogli ją uiszczać, a składki z roku pierwszego byłyby funduszem żelaznym, pozostawionym na wszelki wypadek;

6) z chwilą zaś, gdy powstaną związki i towarzystwa łowieckie młodzieży, należałoby wydawanie karty łowieckiej po odbyciu egzaminu uwzględnić tylko tym, którzy się wykażą, że są ich członkami.

To są według mnie kwestje zasadnicze, o których wykonanie zwracamy się do starszego pokolenia. Myśmy postawili pierwsze kroki w kierunku zorganizowania się i pracy na polu łowiectwa, trafiliśmy jednak na zbyt wielką apatię naszych przełożonych i kolegów, oraz na trudności finansowe.

Zwracamy się więc do Was z prośbą o interwencję i pomoc. Jedyne po obopólnym zrozumieniu się i jednomyślnej pracy obu pokoleń, cel osiągniemy.

Życzeniem mem końcowem byłoby, by kwestje wyżej poruszone nie pozostały bez echa, lecz by znalazły oddźwięk i zrealizowanie przez pokolenie starszych, a zachęciły do wytrwałej pracy na polu łowiectwa nas, — młodzież.

Andrzej Dobrski

Łowczy Akademickiego Związku Łowieckiego na USB w Wilnie.

Akademicki Związek Łowiecki U.S.B. w Wilnie

Akademicki Związek Łowiecki powstał w połowie ubiegłego roku akad. w formie organizacji opartej na przepisach ustawy o stowarzyszeniach akademickich a więc organizacji podległej ściślemu nadzorowi władz uniwersyteckich. Związek liczy obecnie 20 członków. Celem jego jest praca na polu ideowo - łowieckim oraz danie swym członkom możności polowania przez dzierżawę terenów.

Ze względu na to, że gros dotychczasowego istnienia Związku stanowi okres egzaminów wiosennych oraz wakacje nie mogło być mowy o rozwinięciu poważniejszej pracy ideowej oraz organizowaniu się do dzierżawy terenów i urządzania polowań. W toku swego powstawania AZŁ musiał się borykać z licznymi trudnościami i spotkał się z pewną nieprzychylnością władz uniwersyteckich, które nie udzieliły mu lokalu mimo, że wszystkie prawie organizacje akademickie takowy otrzymują. Nie mając fundu-

szów na wynajęcie lokalu AZŁ musiał korzystać z gościnności Klubu Myśliwskiego, który mu dwa razy tygodniowo lokalu użyczał.

W obecnym roku akad. AZŁ. przystąpi już do realizacji wszelkich swych zadań, o ile tylko warunki na to pozwolą.

Pozwalamy też sobie na tem miejscu złożyć najserdeczniejsze podziękowanie pp. prezesowi B. Świętorzeckiemu, prezesowi M. K. Pawlikowskiemu, Wł. Korskawowi i delegatowi L. Pac - Pomarnackiemu za moralne poparcie, rady i wskazówki w czasie organizowania i w toku prac naszego Związku, kuratorowi AZŁ. prof. M. Hłasce za opiekę nad organizacją, Towarzystwu Łowieckiemu Ziemi Wschodnich za finansowe poparcie prac AZŁ, oraz Zarządowi Klubu Myśliwskiego za użyczenie lokalu. Oby im św. Hubert to stokrotnie wynagrodził!

Zarząd A. Z. Ł.



Do studentów-myśliwych U. S. B.

Wszyscy, którzyby chcieli należeć do A.Z.Ł. oraz zasięgnąć o tej organizacji szczegółowych informacji, proszeni są o zwracanie się do kol. Jerzego Oświecimskiego, p. o. prezesa AZŁ., w przerwach między wykładami IV-go roku Prawa (sala 1 gmachu głównego USB), bądź też w godz. 14 — 16 przy ulicy M. Pohulanka 10 m. 1.

Zarząd zwraca się również z apelem do tych Kol. Kol., którzy w ubiegłym roku akad. należeli lub wyrazili chęć nałożenia do AZŁ., by wszyscy niezwłocznie nawiązali kontakt z kol. J. Oświecimskim.



„Trofea“

fol. Zygmunta Drzewicki

Zanim wyjdiesz w pole..

Najlepsze myśliwemu, najwytrawniejszemu strzelcowi przytrafić się może nieszczęśliwy wypadek na polowaniu.

Znanymi są przecież wypadki postrzeżenia, naganki lub uszkodzenia mienia cudzego i nie potrzeba chyba komentarzy, jak przykre są następstwa takich wypadków.

Ochroną przed temi następstwami jest ubezpieczenie się myśliwych.

Minimalna opłata pozwala każdemu myśliwemu korzystać z tego rodzaju ubezpieczeń.

Reprezentacja Polskiego Tow. Ubezpieczeń „Patria“ w Wilnie przy ul. Mickiewicza 17, chętnie służy wyczerpującymi informacjami w tym dziale ubezpieczeń.

Niechaj więc każdy myśliwy, zanim wyjdzie w pole, pamięta o tym moralnym poproście obowiązku ubezpieczenia się, co leży w jego własnym i dobrze zrozumianym interesie, gdy trafem może stać się przysłowie, „że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi“.

PTAKI W LEGENDZIE

Dnia 12 maja r. b. w Wilnie w czasie pogrzebu Serca Marszałka i Jego Matki miał miejsce następujący dziwny fakt:

Gdy kondukt żałobny wyruszył z kościoła św. Teresy, gdy zaczęły bić dzwony i nadleciały wojskowe samoloty, na horyzoncie ukazał się klucz ptaków. Było to kilkanaście bocianów, które przyleciały nad ratusz i zaczęły wirować, jakby chcąc przyjąć udział w uroczystościach żałobnych. Zgromadzona publiczność ze zdziwieniem przyglądała się krążącym dłuższy czas ptakom.

Fakt ten przypomina ciekawy wypadek, opisany przez d-ra Władysława Zahorskiego („Podania i legendy wileńskie“, str. 89 i 90). W 1604 r. w czasie uroczystości koronacyjnych św. Kazimierza, Wielki Kanclerz Litewski Lew Sapieha przy pomocy djakonów dźwigał olbrzymią chorągiew uwielbienia św. Kazimierza. Gdy procesja wyszła z kościoła św. Stefana i kroczyła ulicą Rudnicką, nagle na jasnym lazurze nieba ukazał się punkt, który zwrócił na się ogólną uwagę. Punkt ów zbliżał się i rósł, aż poznano w nim bociana, który spuściwszy się przed samą chorągwią uwielbienia św. Kazimierza, niespłoszony gęstymi wystrzałami z dział i rusznic, na chwilę przysiadł na jej wierzchołku, a potem z wolna leciał nad mianem przed procesją, jakby wskazując drogę pochodowi.

Dziwne to zjawisko tłumaczono wtedy, że jak bocian wytępie gady i żmije, tak i w tem

jego zjawieniu się w uroczystej chwili upatrywać należy przepowiednię bliskiego i mezwodnego wytępienia wszystkich herezj. J. L.



Jez. Dzisna

fol. Zygmunta Drzewicki

Z przeszłości w przyszłość

Życie powstanie w nieświadomości, zezam nabierze siły, dojdzie rozkwitu i swojej mądrości, dojrzeje, owoce da, stwarzając nadzieję i — w ciszy przeznaczenia — czeka za służonej, ciężko wypracowanej godziny odejścia.

Szczęśliwe jest stare życie, kiedy tych jego chwil ostatnich nie zatruwa ignorancja młodego życia, kiedy to młode życie stroniąc od pewnych narowów starego (bo tak już jest), wnosi szereg nowych rzeczy (w tem leży postęp), ale nie gardzi też wielością wiecznych wartości, jakie wogóle życie ma w sobie bez względu na swój wiek. Życie stare lubi patrzeć na kontynuowanie jego prac, jego planów, a nawet — marzeń. To jest zadowolenie, rozkosz i duma starszego pokolenia: wiedzieć mądry i dobry owoc.

Taki dałem wstęp do zagadnień, które tu poruszam.

Nie dalekie to jeszcze czasy, kiedy wykwitłe z serdecznych umiowań ludzi „dobrej woli“ zaczęło krzewić się na tle ogólnej nieświadomości i ciemnoty nasze powojenne łowiectwo. Nasz rejon Ziemi Wschodnich w tyle nie pozostał. Stacja wartościowych idei na granicy dzikiego barbarzyństwa tem silniejsza i cięższa napotkała przeszkody od ciemnych, żadnym blaskiem nieoświeconych umysłów. Stacja nie pozostała tylko „stacją“, która stoi i czeka, że jej dobrodziejską obecność uleczona i poddźwignięta zostanie nizi-

na życia. Nie! Ci sami ludzie „dobrej woli“ ponieśli żagiew myśli i jej wieielenie — czyn wszędzie, gdzie tylko mogli. Złożyli w swoje plany tężyznę życia, bolesny trud i — często zawiedziona — gorycz piołunową serca. Znam wielu z tych ludzi. Słyszałem często ich głosy na łamach prasy łowieckiej. Nie poprzestałi oni na działalności dokoła siebie, na swoim tylko terenie — spojrzeli szerzej... W pamiętnym dla wschodniego łowiectwa dniu 10 października 1926 r. przez wydanie pierwszych „Trąbek myśliwskich“ zadokumentowali, że chcą szerzyć kulturę łowiecką nie tylko w płaszczyźnie myśliwych, ale, że chodzi im o sens myśli ogółu w zakresie pojmowania łowiectwa.

Niestety — ludzkie pojmowanie czasem bywa bardzo odporne i nie chce — ani rusz — spróbować prawdy. Słyszałem — ubocznie — głosy ludzi, już nie głupie, ale nikiemne... Pomimo to chronicznie wierzę, że — z mierzwy nowe życie powstać może, i nie tylko może ale — musi, bo gnój bywa do wzrostu potrzebny... Sądzę, że już czas najwyższy, ażeby społeczeństwo wileńskie dorosło do poziomu myśli wolnej i szerokiej... W zrozumieniu bowiem ogólnem pewnych spraw leży często ta jemnica postępu. Powściągnięcie się natomiast przed ich przyjęciem opóźnia rozwój człowieka i zatrzymuje go w bliższym sąsiedztwie pierwocin ludzkiego życia, niż wyżyn doskonałości prawdziwego człowieczeństwa. — Nie

ma tu tendencjy „myśliwskich“ w kolorowym opisywaniu swoich spraw, a tylko szereg rość podejścia. Jeszcze nawrócę do tego.

Tymczasem — o samej „braei“ myśliwskiej, o swoim gronie. Niezrozumienie, doznane od ogółu, tu zdawało się znajdować miejsce — niestety, tak! Trzeba ze wstydem wyznać, że często owi ludzie „dobrej woli“ napotykali właśnie wśród samych myśliwych, (pożal się, Boże, co to za myśliwi!) na większe trudności, niż wśród laików. Zmienawidzono „ideowców“ za zamach na błogi stan dotychczasowego „myśliwskiego“ bezprawia pozwalający o każdej porze dnia i roku kropić do zwierzyny bez różnicy płci i wieku — bez zastosowania jakiegokolwiek terminu ochronnego z punktu patrzenia już nie łowieckiego, ale czysto ludzkiego. Słyszało się się i takie głosy, że „dla ojców naszych starczyło, to i dla nas starczy“. Zaprawdę korzystny egoizm człowieka, jakiegoby się nawet powstydziło polne łacie zwierzę, które dba o karm dla dziecka... Śmieszne to, ale i żółciowo gorzkie.

W mojej niezbyt długiej praktyce społeczno - łowieckiej udało mi się wiele rzeczy zaobserwować i zapamiętać: spotkałem różne traktowanie zagadnienia łowiectwa. Spotkałem dzikich, pierwotnych kłusowników i „dworskich“, „bezpańskich“ „myśliwych“, którzy strzelby mają z dziada pradziada, zobowiązań łowieckich nie znają z dziada pradziada i z władzą miejscową żyją bardzo dobrze — z dziada pradziada.

Kiedyś, po rozmowie z takim człowiekiem, mocno zastanowiłem się nad tą dziadostką - pradziadostką tradycją, którą się chce w dzisiejsze życie całkowicie, ze zgniłymi korzeniami wszczepić. Doszedłem do wniosku, że chyba dzisiejsze łowiectwo przyjmie ze staropolskiego łowiectwa tylko to, co było w niem ludzkiego, etycznego, rycerskiego i pięknego. Resztę jako naleciałość starego życia odrzuci.

Obok tych „dziadostkich“ myśliwych spotkałem znanych strzelaczy, rekordzistów, kompanów kotła i ognistej wody życia, sportowców i awanturników, szukających przegód, członków koła wielbicieli nagiego kolana i mecenasowskich gawędziarzy przy pełnym kielichu i sutym stole...

To wielka gwardja bez należytych dowodów, bez porządku dziennego, bez regulaminu życia i pracy, często wręcz przeciw zasadom wszelkim — nawet ludzkim — występująca, idąca po linii własnej korzyści i wygody. Gromadzi się ona w „społeczne“ grupy, towarzystwa, kluby tylko dlatego, by różnie było gwarzyć, dowiepkiwać i pić przy myśliwskiej „okazji“. — Ktoś (najpewniej laik), przeczytawszy te słowa, mógłby pomyśleć: i ja z taką grandą miałbym się łączyć?..

Jeśli w tem wyliczeniu próbował widzieć dzisiejsze łowiectwo — miałby rację. Ale niech wkroczy gdzieindziej. Niech wejdzie w trud walczących o nowe jutro bojowników, którzy ustawicznie dążą do celu, po-

Gdy się świat zostawi za sobą

Gdyby dano mi moce nadprzyrodzone i kazano stworzyć na ziemi raj dla myśliwych, nie miałbym z tem wcale kłopotu. Zmieniłbym tylko nazwę: powiat dzisiejski nazywałby się odtąd rajem i byłbym dumny ze swego dzieła. Powiesz, czytelniku, że przesadzam. Gdybyś był na moim miejscu, napewno byś tego nie powiedział. Poprzednie lato, wiosna tegoroczna i ostatnie wakacje spędzone w tej krainie z najwierniejszą towarzyszką myśliwego, strzelbą, pozostaną w moich wspomnieniach myśliwskich jako te chwile, o których myśliwy marzy, lecz które w rzeczywistości miewa rzadko.

Wysadzona brzoza i sosnami, trochę piaszczysta i błotnista wije się wśród pól, lasów i mszarów. Dziśnieszczyzny wiejska droga. Niegdyś trakt do Połocka, dziś jest tylko ślepym torem, kończącym się na granicy bolszewickiej. Ciepłe, słoneczne sierpniowe popołudnie. Zaprzężona w ręce pstroki bryczka toczy się żwawo, wioząc całą naszą trójkę do puszczy Hołubickiej. Trójka nasza to kuzyn mój, Zygmunt W., ziemianin z tamtych stron, Henio M., przyjaciel mój serdeczny i ja. Właściwie jest nas czwórka, bo w nogach naszych siedzi Ralf, wyżeł mego kuzyna i nieodłączny towarzysz naszych letnich polowań. Humory do pisują nam znakomicie, bo zresztą któryż myśliwy nie jest w świetnym humorze, gdy jedzie na polowanie. Świat cały ze swemi troskami i niepowodzeniami pozostał hen gdzieś z tyłu, a my wjeżdżamy w okolicę coraz dzikszą i mniej zaludnioną, a sercu myśliwego coraz miłszą. Pola zwolna znikają, a zaczynają się błota i lasy, które wreszcie przechodzą w puszcę. Z wielkiej drogi wjeżdżamy na leśną dróżkę. Tu i ówdzie piach aż po osie, grobelka lub mostek „niepewny“. Lecz oto i koniec naszej podróży, puszczański folwarczek o myśliwskiej nazwie Niedźwiedzi Ostęp, w samym prawie sercu puszczy, koło jeziora Miazużelo położony Właściciel jego, Szuniewicz, wita nas z radością i zapewnia o mnóstwie kaczek, na które właśnie mamy jutro zapolować na złotych.

Każdy chyba myśliwy słyszał o poleskich sadach, gdzie kaczek chmary, a lufy rozgrzewają się do gorąca od częstych strzałów. A jednak my mamy prawie to samo o 500 kilometrów na północ na jeziorze Miazużelo. Czerwono - złota kula słońca chyli się już ku zachodowi, gdy, zostawiwszy w chacie rzeczy, idziemy ku jezioru, oddalonemu o pół kilometra. Droga wiedzie po tak dobrze znanych kresowemu myśliwemu kładkach. Na prawo i lewo mamy błoto porośnięte mchami i karłowatą sosną, gdzie na wiosnę głąszcze tajemniczą swą pieśń śpiewają. Dochodzimy wreszcie do łódki, wsiadamy do jednej, drugą naładujemy gałęziami i jedziemy na jezioro.

Miazużelo położone całe wśród lasu, który odbija się w niem jak w zwierciadle, tylko w dwóch miejscach przy brzegu jest trochę zarośnięte i tam to właśnie na skraju trawy i czystej wody odbywają się zloty. Gdy podjeżdżamy do tych miejsc, rozlega się łopot, świst skrzydeł i łwakanie i setki kaczek zrywają się, niestety na jakieś dwieście kroków, i odlatują, by powrócić tu o świcie. Wybieramy „same odpowiedzialne“ miejsca, wtykamy w niegłębokie w tem miejscu jezioro gałęzie i robimy w ten sposób budki, w których rano mamy się z łódkami schować, poczem ruszamy w drogę powrotną. Jest już noc i jezioro wygląda prześlicznie. Na brzegu ciemnieje zwarta masa lasu, wokół nas zaś tafla wody, w której księżyc i gwiazdy odbijają się ludzają, że to dwa stropy niebios z sobą się stykają. Cisza panuje zupełna, przerywana tylko czasem pluskiem wody pod wiosłami.

Dziesiąta jest już gdy wracamy wreszcie do chaty Szuniewicza.

Mocne stukanie do wrót „puni“ budzi nas z krótkiego, lecz jakże przyjemnego snu. To Szuniewicz daje znać, że już pora iść na jezioro. Noc jeszcze jest zupełna, lecz gwiazdy zaczynają już trochę błędnąć. Pół godziny blisko idziemy po kładkach, potem trzy kwadransy jazdy łódką i jesteśmy na miejscu. Kaczek jeszcze niema, lecz chowamy się pośpiesznie do

budek, bo Szuniewicz mówi, że już „sama pora“. Siedzenie takie w budce przypomina mi wiosenne toki cietrzewie. Na wschodzie niebo zaczyna coraz bardziej błędnąć, lecz miast czystego wiosennego ranka jezioro całe spowija się w mgły jesienne.

Ciemno jest jeszcze gdy przylatują pierwsze kaczki. Przeważnie stadkami po kilka - naście sztuk, niewidoczne jeszcze dla oka kaczki ze świstem skrzydeł, jak wichura spadają bez namysłu na wodę. Zaczynam się gorączkować. Zwykłe, pospolite kaczki, których tyle już nastrzelałem tego lata a jednak sprawiają tyle emocji. Wyteżam wzrok i wypatruję przez „okienka“, lecz napróżno — nic jeszcze nie widać. Kaczki kwaczą, biją skrzydłami i pluskają się o kilkanaście kroków od budki a ja siedzę jak na rozżarzonych węglach. Coraz to nowe kaczki nadlatują, słyszę ciągły świst skrzydeł i oto już na tle nieba, gdyż budka moja jest bez „dachu“, mignęło mi kilka sylwetek kaczek, które we mgle wydają się niesamowicie wielkie. Złożyłem się, lecz zapóźno — kaczki rozplynęły mi się we mgle. Lecz oto słyszę znowu zbliżający się szum skrzydeł, przygotowuję się do strzału, kilka kaczek ukazuje się nad budką, walę szybko dwa razy, tracę kaczki z oczu, słyszę jednak uderzenie zabitej sztuki o wodę. Po strzałach jeden łopot, kaczki rwą się wszędzie i odlatu-

ją dalej. Nie mija jednak minuta, jak wracają i stadko za stadkiem padają na wodę. Wtem rozlegają się strzały z budki. Zygmunia i cała masa kaczek zrywa się od niego i wali wprost na mnie. Gorączka ogarnia mnie straszna. Strzelam dwa razy w tą masę myśląc, że kaczki posypią się jak gruszki i... pudłuję haniebnie. Klnę w duchu na czem świat stoi, lecz jednocześnie zimna krew zaczyna mi powracać. Nadlatują nowe kaczki i łatwym dubletem „puszczam“ dwie na wodę. Powoli rozwidnia się i kaczki mimo gęstej, białej jak mleko mgły są już widoczne. Strzelam coraz częściej a i moi towarzysze też nie próżnują i bronią się przed tą istną ofensywą kaczek. Już i na wodzie widzę kaczki, lecz, że mam ich dosyć w powietrzu strzelam przeważnie w lot, gdyż i strzał jest dużo przyjemniejszy i emocja większa, gdy się słyszy plusk spadających ptaków.

Jest już zupełnie widno, a kaczki zwłaszcza cyranki jeszcze lecą, choć już przezornie omijając budkę i czasem tylko nalatując na daleki strzał. Zwolna wynurza się z za lasu słońce, ledwo jednak widoczne poprzez mgłę. Z lewej strony, gdzieś z daleka dolatuje mnie dźwięk dla ucha myśliwego tak miły. To stary kogut — cietrzew wspomniawszy czarowną wiosnę i zabełkotał jak w kwietniowy poranek. Wólnym lotem leci wprost na mnie czapla. Chwytam za strzelbę, lecz czujny ptak spostrzegł to, łamie się w locie i odlatuje. Jeszcze parę strzałów do ostatnich kaczek maruderów i wychodzimy a raczej wypływamy z budek i zabieramy zabitą zwierzynę. Kilka kaczek nie znajdujemy — widocznie zbarczone zapływały, gdzieś do trawy a tam łódką wjechać trudno a tak chodź niepodobna, bo, jak na całym zresztą jeziorze, pod półmetrową warstwą wody jest jeszcze parę metrów „buzi“ (nie tej z cukierni Jugosławia) t. j. rzadkie go błota, po którym ani przejść, ani przepłynąć. Napelniamy dzioby naszych łódek sporym bukietem cyranek i krzyżówek i wracamy do Niedźwiedzi Ostępu.

Mgły poranne powoli rozplywają się i jesienne słońce miłe nas grzeje swemi błędem promieniami, bo trochę przemarzliśmy siedząc w budkach. Wydobywamy zresztą z kieszeni inny środek rozgrzewający i butersznytę i kórzystając z wolnego czasu spożywamy śniadanie. W dali słychać turkot motoru, który tak dziwnie i nieprzyjemnie brzmi w tej głąszy. Czyżby samolot? Nie, to w kraju „wolności i swobody“ (granica jest o parę kilometrów) pracuje bolszewicki traktor.

Wkrótce przybijamy do brzegu, wracamy do chaty Szuniewicza, zmieniamy nieco



„Na cietrzewiach“

fot. Zygmunt Drzewicki

(Dokńczenie na str. 8 e)

suwając się kilkoma naraz odnogami specjalności — czy to w dziedzinie myśliwskiej czysto społecznej, czy prawodawstwa łowieckiego, czy — łowieckiej literatury. Niech przejrzy łowieckie czasopisma, niech odwiedzi wzorowe łowiska, a jeśli i tam — jakimś złym cudem — napotka obłudę, niech się przyjrzy łowieckiej kulturze dnia każdego tych ludzi, którzy trudem mało owocnej pracy obciążają krótkość ludzkiego życia.

Olbrzymią kulą u nogi działań na polu ukulturalnienia w zakresie łowiectwa był i jest brak pieniędzy. On omal nie pozbawił wschodniego łowiectwa dobrych, bo szczytów „Trąbek myśliwskich“ (w nich redakto-ry przeróżnych pism musiały się uczyć szczególnej ironji; zdawałoby się paradoks: szczytowa ironja, ale — tak jest).

„Trąbki myśliwskie“ dychawicznie grały między latami 1926 a 1928, dając tem znać, że i Towarzystwo Łowieckie Ziemi Wschodniej robiło silnie bokami... Potem dzięki a - nonimowej mądrej przemysłowości po wschodnich rubieżach silniej zadzwieżał łowiecki rózek. Uparty, zawzięty apel zżymającego się na wileńską opieszałość Redaktora dawał rezultat. Wielu znanych ludzi wypowiedało się w „Trąbkach“, dokumentując, że łowiectwo coraz szersze zatacza kręgi. Ale z finansami nie było lepiej.

Równocześnie zaczęła boleć starszych myśliwych obojętność młodego pokolenia, które niezem nie okazywało interesowania się sprawą łowiectwa polskiego. Szukano win

wszędzie... Nie chciano, czy może nie umiano jednej tylko, bardzo ważnej — mojem zdaniem — rzeczy wziąć na obronę młodzieży. Zapomniano, że pokolenie to albo w zaraniach naszej swobody politycznej przyszło na świat albo trochę później, wtedy, kiedy zaczęto w miatać niewolnicze brudy i budować w Polsce nowe życie. Zapomniano, że o wiele ważniejsze sprawy zaprzątały ludzkie umysły, aniżeli łowiectwo. Społeczeństwo bowiem tak samo i dzieci, ta właśnie młodzież dzisiejsza, kształtowała swoją psychikę w oświeceniu autorów poezji legjonowej i pierwszego okresu powojennego, pełnego jeszcze krwi, symbolów i przedsmaku nowego życia, które miało się w Polsce wyklarować. Każdy tem żył od staro do małego. Na te melodje i barwy urobiła się psychika całego społeczeństwa, że tak powiem „uspoleczniła się“ psychicznie i pełna zaparcia, kombinując nad najlepszymi systemami życia, przesadnie zaczęła szukać rozwiązania rzeczywistości polskiej. Śmiesznie się robi, kiedy się pomyśli, że dzieci tem się zajmowały; ale tak było. Tem się tłumaczy ten odskok od wszelkich specjalnych zamiarów, a zainteresowanie się aż do ogłupienia bez względu na wiek i urząd sprawą zbudowania nowej ojczyzny.

Starsze pokolenie — jako starsze — prędkiej zrozumiało sens powrotu do przeróżnych dziedzin życia, do specjalizacji, do osobistych zamiowań, słusznie rozumując, że każdy na swoim umiłowanym polu najwięcej może dla ludzi, dla społeczeństwa zrobić. Wierzyli, że tu wypracują przyszłość.

Tymczasem minęła powojenna - polityczna gorączka. Młodzież po silnym naładowaniu się olbrzymią gamą smutnych i nieszczęśliwych wrażeń wojny i powojennego stanu, — rzuciła się łapczywie po wykorzystanie fizyczne, cielesne materialnych wartości, jakie przyniósł ze sobą gwałtowny rozwój materialnej kultury. Zachłystnęła się tem, napoiła me lodją dzikiej, drażniącej nerwy i niosącej im chwilowy wypoczynek muzyki tanecznej, u-tonęła w rzece cielesnego szalu i użycia wszystkiego, zaczęła szukać wyjścia w wychowaniu fizycznym, w sprocie. Wszystko to doszło do silnej przesady. Tak być musiało. Po olbrzymich, przetwarzających dusze „emocjach“ wojny przyszła „oczystka“, przeprowadzona przez materialne wartości. A dzisiaj?...

Dzisiaj — mam głębokie przekonanie — młodzież, przynajmniej akademicka, zrozumiała, że przyszłość należy wykuć nie wojną, wyrzynaniem ludzi, ale pracą, pracą tęgą i nieustanną, pracą na każdym polu. Zrozumiała też, że w pracy tej nie można pominąć, nawet zlekceważyć wartości przyrody, która nietylko jest objektem sentymentalistów, myśliwych i rybaków (jak chcą niektórzy), ale jest tłem i surowcem, pracy człowieka, jej wzorem i radością ludzkiego życia na ziemi. — Nie jest to ogłaszanie nowego — na modłę pisarzy francuskich — powrotu sielan kowo - pasterskiego do natury. Nie! Życie po kazalo, że takie pojęcie rzeczy, jakie tamci ludzie głosili, prowadzi do rozbestwienia dzikości, śpiącej na dnie ludzkiej istoty, że daje w wyniku mord człowieka. Rzecz inna, że pośrednio nowe przyniosło życie...

Ale jeśli chodzi o nasze, t. zn. młodzież współczesnej podejście do przyrody, to: Cenimy się olbrzymią w jej zjawiskach, bogactwo form życia, różnorodność wrażeń i od czuć, jakich doznaje człowiek w zetknięciu się z naturą, rozmaitość, wynikającą właśnie z różnorodności form życia w przyrodzie i równoczesnego podporządkowania się całej przyrody ogólnym jej prawom, jak chociażby konieczność przystosowania się do różnego bytowania w różnych porach roku. Szanując przyrodę, cenimy najgenialniejszego jej przedstawiciela człowieka i uważamy, że on musi dążyć ciągle do doskonałości tak w dziedzinie wartości ducha, jak i materji. Właśnie na drodze ulepszenia się jest pomocna czołowiekowi przyroda. Skarbiec jej tężny nie-spożyty, radości i ciszy jest lekarstwem na przesyt zbiorowego życia po miastach, na stępane ciężką walką o byt nerwy, na małość człowieka i na jego — często jeszcze spotykana — chęć poprzestania na zwierzęcej stopie życia. Przyroda przez akty swojej działalności zmusza człowieka do kroczenia naprzód, do rozwoju. My w przyrodzie widzimy nietylko letnisko wypoczynkowe dla naszych nerwów. Żle nas by zrozumiał ten, kto by w ten sposób tę sprawę interpretował. Widzimy w przyrodzie, w jej prawach, odkrytych przez człowieka, w jej przeszkodach, jakie ludziom stawia szlifierski kamień, który nam jest po mocny na drodze rozwoju, bo urabia nas, formuje tężny myśli — mądrość i wychowuje uczciwe, szczerze uczucia.

Tak pojmujemy wartości, wynikłe z zetknięcia się człowieka z przyrodą i sądzimy,

Gdy się świat zostawi za sobą

nasz ekwipunek, wypuszczamy z „puni“ Ralfa i ruszamy na poszukiwanie cietrzewi, których tu ma być sporo. Czworonożny nasz towarzysz skomli zrazu żałośnie, jakby się skarżąc, czemu to, gdy my polowaliśmy, on musiał siedzieć w więzieniu, po chwili jednak zapomina o wszystkim i zabiera się do roboty. Zrazu idziemy gęstym borem, lecz wkrótce już las rzadnie i zaczynają się mszary z karłowatą sosną i jagodnikami. Teren wymarzony na cietrzewie. Ralf okłada ochoczo, aby coś znaleźć, lecz jakoś bezskutecznie. Mchy zaczynają się coraz większe, tak że noga tonie wprost po kolano w tym kobiercu, jagody czerwienią się wszędzie a „ciecieruków“ niema. Nie tracimy jednak nadziei i idziemy dalej. Wtem Ralf zaczyna się zacinać, ściga i niebawem staje jak mur. Z palcem na cynglu i bijącym sercem zachęcamy psa „pójdź dalej“, lecz Ralf zda się, że przemienił się w posąg. Naraz krzak losowy o kilkanaście kroków przed psem zakolysał się wprost cały, słyszemy okropny łopot, składamy się wszyscy i... opuszczamy strzelby; stary głuszcak odlatuje odprowadzony pożądlwym wzrokiem naszym i Ralfa.

Brniemy dalej, cietrzewi ani śladu, lecz jest tak tu ładnie, że nie czujemy ani zmęczenia ani zniechęcenia. Jak okiem sięgnąć ciągnie się tylko mech i mech z rzadka rozsianymi sosenkami. Zupełnie weyssenhoffowska Szepeta, tylko że bez zwierzyny. Ponieważ czasie naprawdę odgadujemy wreszcie przyczynę tego i naszą pomyłkę, ofiarą której podaliśmy skutek zapewnień Szuniewicza o mnóstwie cietrzewi. Wszak jasne, że cietrzewie trzymają się bliżej pól a nie w takiej głuszy w samym sercu puszczy.

Jeszcze kilometr drogi przez mchy i naraz oczom naszym ukazują się małe jezioro, lecz jakże dziwne i piękne. Brzegi i dno jezioro, które zwie się „Wolowe Oko“ stanowią mchy, te same, po których chodziliśmy. Woda jest lazurowo — błękitna, a wokół panuje cisza i zupełna pustka, tylko pióra żuraw na brzegu świadczą, że i tu bywa żywa istota. Trudno to opisać ale z zakłętą jezioro bije piękno i groza zarazem. Jestem wprost oczarowany. Henio obiecuje, że, choć niema tu zwierzyny, jeszcze kiedyś nad „Wolowe Oko“ zawita, by popatrzeć na tą dziką naturę, gdzie człowiek rzadko bywa (Szuniewicz od 40 lat mieszkający w puszczy jest tu drugi raz).

Jest już południe, słońce przygrzewa i proponuje kąpiel, lecz Szuniewicz wprost z łekiem mówi: „Nia leż panicz, tu niekaję sianaja haława siadzić i pakazujecca“ i zaklina

się, że nawet za sto złotych nie wlażyby do wody tego jeziora.

Wyleżawszy się z godzinę na mchu tak miękkim jak żadna pierzyna ruszamy z powrotem, lecz inną drogą, gdyż Szuniewicz obiecuje, że można na „Jałowem Hrebie“, wyspie wśród mchu spotkamy kozła. Jakoż niebawem dochodzimy do tego „Hrebła“, porośniętego gęsto osiną i łożą, rozstawiamy się a Szuniewicz spełnia rolę nagonki. Stoję powątpiewając, że coś tu może być, gdy naraz słyszę łomot w krzakach i oczom moim ukazują się poraz pierwszy w życiu wspaniały łoś — łopatacz. Z niemym podziwem oglądam tego wielkiego brzydala, który jakżeż pięknie wygląda na mchach po których zda się płynąć. Łoś przechodzi koło mnie na dwadzieścia kroków i długo go jeszcze widzę aż niknie gdzieś w oddali. Jak nam potem opowiadał Szuniewicz a i po śladach na mchach widzieliśmy, łośie są jeszcze w puszczy Hołubickiej. Niejeden coprawda, jak to się czyta w prasie, ginie od kuli kłusownika, gdyż trudno tu o ochronę — puszcza należy do wielu prywatnych właścicieli i nikt tam nie pilnuje porządku (chyba tylko od północy p. delegat Sulima Samujło — przyp. autr.).

Zmęczeni, lecz zadowoleni więcej, niż byśmy zabili po kilkanaście cietrzewi, wracamy do Szuniewicza, gdzie po skromnym posiłku (nigdy mi chyba tak zsiadłe mleko nie smakowało, jak wtedy), żegnamy z żalem serca kochaną puszcę i ruszamy do domu.

Popołudniowe słońce, chyląc się ku zachodowi hen za berezyńskimi błotami, żegna nas swymi promieniami. W powietrzu czuć jakiś smutek i melancholję. Żurawie lecą kluczącami na południe, stada siewek widać na niebie, pajęczyna snuje się w powietrzu. My też siedzimy na bryczce smutni i milczący. Po dwóch dniach rozkoszy myśliwskich na łonie dzikiej kresowej przyrody musimy wracać do t. zw. „kulturalnego“ a jakżeż przez nas znieprawionego świata, pełnego fałszu, trudu i zgrzyoty. Z jakąż dziką radością zostałem tam, w puszczy w tak miłym i kochanym towarzystwie Zygmunta i Henia. A tu, niestety, trzeba żegnać kochane strony i jechać do miasta....

Ale wróć do Ciebie, droga Dziśniej — szczytno! Wróć do wiosennym świecie znów stanę sam na sam z Przyrodą, gdy z pobliskiej sosny rozlegnie się pierwsze kłapanie trąbadura wiosny. Wróć i w sierpniowy ranek i spotkamy się jeszcze, kochani towarzysze, na mszarach berezyńskich, gdy z pod Ralfarudo — białe „pardwiczi“ się porwą.

Jerzy Oświecimski.



fol. adm. M. Borowski

Nadesłane wydawnictwa

Mieczysław Mnisek - Tchorznicki. Ochrona przyrody na wsi. Str. 15. Warszawa. Nakładem autora.

Znany pisarz łowiecki i działacz na polu ochrony przyrody, autor szeregu odczytów i broszurek ochronarskich, daje nam w ostatniej publikacji zwięzły i popularny wykład głównych założeń idei ochrony przyrody. Omawiając kolejno znaczenie ochrony przyrody dla rolnictwa, dla higieny społecznej, dla pedagogiki, dla sztuki, kładąc nacisk na idealne wartości ochroniarstwa („przyroda uczy... człowieka miłować swój kraj ojczysty“), — p. Tchorznicki przechodzi do właściwego tematu swej broszury: jak mamy chronić przyrodę? W tym miejscu autor omawia obszernie rolę szkoły

powszechnej i duchowieństwa w propagowaniu idei ochrony przyrody. Nader osobliwie podkreśla również autor pokrewieństwo zachodzące pomiędzy ideą ochrony przyrody, a prawdziwym myślistwem: „myśliwemu prawidłowemu zawsze zależeć będzie, by istniało jak najwięcej zwierzyny w wielu gatunkach; to, że dziś istnieją jeszcze żubry, że hajecznie poświększył się stan łośi i bobrów w Polsce, zawdzięczamy prawie wyłącznie myśliwym“. (m. p.).

Tęgoż autora. Hryćko i Iwan. W-wa 1936. Str. 11. Odbitka z „Łowca Polskiego“.

Tęgoż autora. Łowiectwo w starożytności. Warszawa 1936. Str. 20. Odbitka j. w.

że taksamo podchodzi do tego zagadnienia współczesne łowiectwo polskie. W łowiectwie widzimy ciągłość stykania się człowieka z przyrodą, widzimy ścisły kontakt ludzko — przyrodniczy.

Obok tego w łowiectwie dzisiejszym widzimy przejaw uspołecznienia się. Nie widzimy w niem wielkopańskiej tradycyji, goniącej za stórą pstrokatych psów i tratującej nędzę chłopskich pól. Głosy tej zła niechaj zaginą w tym mroku, kiedy jeszcze nie znano skarba rozumu i szkatuły serca.

Podkreślamy tu inną rzecz, pozostającą jednak z powyższym w pewnym związku. Uważamy, że sprawy kłusownictwa nie da się rozwiązać tylko ostrą interwencją leśnika, albo policji. Mamy tego częste dowody: tracimy ludzi tak po jednej, jak i po drugiej stronie; zostają nam samotne wdowy albo sierocane dzieci... Usiłujemy zapobiec ludzkiej nędzy przez ubezpieczenie życia strażników łowieckich. A kto zabezpieczy przed nędzą żyćie rodziny kłusownika? Patrzymy na jedną stronę, na drugą nie. Czyż mamy prawo pętać ludzi, którzy — podobnie jak my — urodzeni z „żyłką myśliwską“, szukają rozwiązania sprawy polowania w płaszczyźnie, jaka w ich warunkach jest możliwa? Sprawa jest bardzo ważna i sięgająca w przyszłość. To nasze stanowisko nie jest jakimś buntem przeciw starszemu pokoleniu, albo wyskokiem demokratycznym. Kpimy z takich określeń. Chodzi tu o człowieka i o jego wrodzone umiłowanie. Pragniemy, aby łośa, a, broń Boże, krew ludzka nie znalazła się na drodze rozwoju umiłowanego przez nas łowiectwa,

pragniemy, i żądamy tego, w imię czystości naszej ideologii, szanującej mękę nawet zwierzęcia — postrzałka...

Bezsprzecznie — współczesne metody zwalczania kłusownictwa są konieczne w dzisiejszej chwili, bo nie wyszliśmy jeszcze całkowicie z dzikości życia, z naleciałości wseho du, bo — szczególnie tu, przy wschodnich granicach spotykamy ciemnotę człowieka, bliską bydłowej. Na taką ciemnotę często tylko bież jest pomocny.

Ale — z drugiej strony musimy energicznie wziąć się przedewszystkiem do oświecania ludzi, do kształcenia ludzkich rozumów i uczuć, a potem do rozpowszechniania idei przyrodniczo — łowieckich w szkołach, na terenie wiejskich kół młodzieży, a nawet — jest to naszym zdaniem możliwe — w wojsku.

Tragedją — w związku z tem — jest fałszywe podejście „niemyśliwskich“ czynników rządowych do sprawy łowiectwa. Rozumie się w niem tylko polowanie, a nie uspołecznianie się, nie olbrzymie wartości płynące z kontaktu ludzi ze światem przyrody. Często nawet rozumuje się wręcz naopak: im dalej „dzikiej“ przyrody, tem kultura ludzka większa.... Trudno, są ludzie, którzy uważają, że jedną miarą sążnia mierzyć wielkość charakteru i wielkość (wysokość) np. drzewa....

Nawiązując do powyższego — uważamy że sprawa kłusownictwa musi być przemyślana przez łowiectwo polskie i dobrze rozwiązana. To jest bowiem problem, który może silnie zdecydować o istnieniu łowiectwa wogół

le, gdyż wiąże się z zagadnieniem małej własności i coraz częściej rozdrabniającego się dużych majątków — dotychczasowych ości myślistwa. Przecież nie dąży się do upaństwowienia łowiectwa przez kontakt tylko z państwowymi terenami łowieckimi... Czy próbowano kiedy założyć jakąś organizację łowiecką na wsi, wśród kłusowników? Czy nie warto spróbować?

Cieszy nas niezmiernie, że znaleźli się pokrewni nam zamiłowaniem ludzie, którzy — w swojej serdeczności — zadrżeli nad przyszłością tego, co dla nich i dla nas jest piękne; którzy i dla nas chętnieby dobre gospodarstwo łowieckie zostawić w spuściźnie.

Cenimy te serdeczne zamiary. Na lekkieważenie ich wśród nas niema miejsca. Przemagając cały szereg trudności różnej natury, od ignorancji laików zaczynając, a kończąc na braku funduszy i początkowym „niegraniu“ we własnym łonie — usiłujemy stworzyć ruch wśród błakającej się samopas młodzieży łowieckiej. Już o organizacjach łowieckich młodzieży zaczyna być słyszano... Wilno Wilno przoduje i zawstydza stołeczne miasto Warszawę, posiadającą takie olbrzymie skupisko młodego studenckiego elementu. Staje na nogi Akademia, Związek Łowiecki w Wilnie (AZL), podpisujący się własną pieczęcią z Batorym.

Serdeczne w swojej goryczy słowa, usilne zabiegi, szczerze poparcie i dobre uczucia Pawlikowskich, Pac - Pomarnańskich, Świętorzeckich i Korsaków — dają owoce. Rodzi

się, wychodząc z koszmarów niepewności i bojaźni, przyszłość polskiego łowiectwa. Jak młody dębeżak niedaleko starego lasu, na słonecznej przestrzeni. Piękna, tęga, ryeerska tradycja dawnych łowów na grubego zwierzca i powojenne, mądre — bodaj czy nie piękniejsze od niej — odczucie przyrody przez starsze pokolenie myśliwskie — jego gruntem, glebą żywną. A co do samej przyszłej pracy — rozstrzygnie rozum człowieka i uczucie. One muszą być wytyczną ludzkiej działalności na każdym polu.

Fakt założenia pierwszej ideowej organizacji łowieckiej, młodzieży akademickiej w Polsce zbiega się z 10-leciem istnienia „Trąbek myśliwskich“. Na tem miejscu mamy za szczyt powinszować Towarzystwu Łowieckiemu Ziemi Wschodniej dotychczasowych pięknych owoców pracy... Wierzeie w przyszłość, Starsi Bracia — myśliwi! Odtąd — Bóg da — razem: starzy i młodzi będziemy silnie w nasze trąbki dmuchać...

Ruch młodzieży się zaczął. Należy go wesprzeć różnymi sposobami: jak kto może.

Pragnieniem naszym jest, aby kontakt między obu pokoleniami: Wami, Ojcowie i Starsi Bracia — myśliwi, a nami był zachowany. Zależy to od Was i od nas. Niech nam szczęści święty Hubert we wspólnej pracy dla wspólnych idei!

Za Akademicki Zw. Łowiecki w Wilnie

Tytus K. Karpowicz